

# Śmietnik

Śmietnik nie był zbyt duży. Zwykły, schowany wstydliwie gdzieś w ciemnej i ciasnej uliczce śmietnik, z pękającymi od śmieci pojemnikami, o których zapewne służby oczyszczania miasta dawno zapomniały. Nic dziwnego, śmietnik był umieszczony celowo z dala od chodnika, w ciemnej ciasnej i na dodatek ślepej uliczce, tak żeby na wszelki wypadek nikt nie wszedł w kupę śmieci przypadkowo. Wprawdzie niektórym sprawiało to też i kłopot przy wyrzucaniu śmieci – długo się musieli naszukać, zanim trafili we właściwe miejsce chcąc się pozbyć świeżej porcji bieżących odpadków. Bywali i tacy, co to wściekli, że nie mogą znaleźć śmietnika, rzucali śmieci wprost na ulicę, mówiąc sobie, że służby sprzątające opłacane z ich podatków mają psi obowiązek sprzątać ZAWSZE i wszędzie. Śmieciom to nie przeszkadzało. Było im obojętne, czy walają się bezładnie po ulicy wpadając przechodniom pod nogi, czy siedzą wciśnięte do pękających kontenerów czekając bezowocnie na wywózkę. Jedynie skórki od bananów nieco narzekały, gdyż wyrzucone na chodnik nieodmiennie powodowały czyjeś wywiniecie orla, zakończone twardym lądowaniem na splekanym bruku. Skórkom przeszkadzało nie tyle to, że zostały rozdeptane – jak się jest śmieciem, to nie ważne, czy rozdeptanym czy nie. Śmieć to śmieć, jego kondycja nie ma już większego znaczenia. Jednak siarczyste klątwy osób wywracających się i gubiących przy okazji swoje zęby działały na bananowe skórki nieco przygnębiająco. Jeden dziadek wypluł podczas upadku sztuczną szczękę. Szczeka poleciała szerokim łukiem wprost w chłód poranka, a dziadunio ledwo pozbierawszy stare kości z chodnika zarzekł się na wszystkie znane mu świętości, że nie będzie już nigdy jadł bananów. Nigdy w życiu! Dziadku, z twoim uźębieniem? – pomyślała skórka – teraz, jak żeś już pożegnał się z protezą, powinieś błogosławić istnienie miękkich bananów, do konsumpcji których nie potrzeba nikomu zębów. A przynajmniej, nie są owe zęby niezbędne, jakkolwiek może i nieco przydatne. No i jak tu nie wpaść w bananową depresję...

Ale tego ranka śmieciowe życie śmietnika uległo wzbogaceniu. Ktoś ruszył w zapomniany kąt zamasytym krokiem, wyciągnął zza pazuchy papierową torebkę, już chciał ją cisnąć wprost na szczyt największej sterty śmieci – ale zawahawszy się, położył ją po prostu na ziemi. Dla śmieci było to już o tyle niezwykle, że zawsze je rzucono, gdy wyrzucano. Ciskano z impetem i wściekłością, spowodowaną zapewne tym, że śmietnik znajdował się tak daleko i w takim dzikim kącie, do którego mało komu udawało się trafić. Więc cała złość bywała wyładowywana na torbie ze śmieciami, opróżnianej z łoskotem i furkotem w głąb kontenera. A tu ktoś coś przynosi i spokojnie kładzie. Coś niezwykłego! Śmieci z ciekawością przyjrzały się papierowej torbie. Wiatr uchylił ją nieco, po czym zdumionym śmieciom ukazał się różowy ogonek w czarnej łatki. Hej, toż to jest na pewno mały prosiak. Tak, na pewno. Co innego może mieć różowy ogon? No ale po co ktoś miał by wyrzucać na śmietnik prosiaka? Nie lepiej odchowac i z czasem przerobić na szynkę? Torebka z różowym ogonkiem zapiszczała cicho i żałośnie. Nie, to nie prosiak – zauważyła puszką po konserwie wieprzowej – prosiaki tak nie piszcza, wiem coś o tym, bo jestem puszką po konserwie wieprzowej i co jak co, ale ja to się na prosiakach znam. – Nic nie wiesz! – prychnął plastikowy kubek po kawie – ty się znasz co najwyżej na wieprzowinie, a nie na prosiakach, a między wieprzowiną a prosiakiem jest taka różnica jak między benzyną a smrodem za samochodem. – A jaka jest różnica między benzyną a smrodem? – wtrąciła się niedojedzona zapleśniała kanapka w torebce foliowej – CZY benzyna nie śmierdzi? – Ty śmierdzisz, pleśniucho! – zaczęły krzyczeć na nią inne śmieci, które już dawno zapomniały, o czym toczy się rozmowa. Zapomniały też zupełnie o torebce z różowym ogonkiem, zresztą przestały się nią interesować – w końcu śmieć jest tylko śmieciem, obojętnie czy jest to przepalone żelazko z urwanym sznurem, czy marna torebka foliowa po krakersach.

Tymczasem papierowa torebka zafurkotała, a jej zawartość niespokojnie zadygotała. Z pewnością stworzenie, zamieszkujące tymczasowo torebkę, nie czuło się pewnie w swojej sytuacji. Chyba nie miało pojęcia, że zostało tu wyrzucone. Czy miało świadomość tego, czym jest śmietnik? Jak to jest – być śmieciem? Czy w normalnej perspektywie swego bytowania miało umieszczone znalezienie się na śmietniku? Taka paczka po płatkach śniadaniowych, choć dumnie pyszni się na półce w supermarkecie, wypinając swoją szeleszczącą obfitość z napisem „100 gram gratis”, od

samego początku egzystencji, od chwili zastygnięcia w formie kolorowej folii, od chwili napełnienia zawartością wzbogaconą o wapń plus siedem witamin – ma nieuchronnie wpisane w życiorys bycie śmieciem. Denerwującym, szeleszczącym na wietrze odpadem, wściekle zbijanym w kulkę i ciskanym do wiadra w gospodarstwie domowym, potem do kontenera, aż wreszcie ulegającym powolnej dezintegracji na wysypisku lub błyskawicznej, ognistej zagładzie w miejskiej spalarni. A zawartość torebki – najwyraźniej żywa – czy miała w ogóle pojęcie o tym, jak to jest, kiedy się jakiegokolwiek pojęcie o czymkolwiek ma? Trudno wszak o coś takiego, jeżeli się nigdy jeszcze nie wyrobiło sobie odnośnie czegokolwiek jakiegokolwiek pojęcia.

Kilkanaście metrów dalej wartko toczyło się życie Dużej Ulicy. Dobiegał stamtąd tupot, szum, szmer, terkot i łoskot, taki jaki to zwykle zwykłe uliczne życie zwykło z siebie wydawać. Ale ani dla żywej zawartości torebki – ani tym bardziej dla śmietnikowych śmieci – niczego on nie oznaczał i nie kojarzył się nijak, był to po prostu hałas od którego należało się trzymać z daleka. Torebka z dygocącym wsadem najwyraźniej preferowała pobyt na zimnym i smutnym śmietniku, zdecydowanie nie mając ochoty stawić czoła całej tej rozterkotanej ulicznej wrzawie. Niech życie się toczy tą ulicą, dużą czy małą, jak już mu się chce tak toczyć po spękany bruku. Bruk Dużej Ulicy znosić ten łoskot i gwar po prostu musi. Kiepska ta jego deptana egzystencja, spękany i zakurzony los, udreptane życie, opluwane i zasurane. Ale bruk wyboru nie ma. Gdzie go kładziono, tam leżeć musi. Obce mu są egzystencjalne dylematy, cały ten koszmarny tragizm posiadania wolności wyboru, gdzie nawet powstrzymanie się od wyboru jest jakimś wyborem. Zaś niezidentyfikowane indywiduum zamieszkujące torebkę – najwyraźniej wybór miało – i nieświadome jego filozoficznej doniosłości – korzystało. Siedząc w torebce.

Taka postawa niosła za sobą daleko idące konsekwencje – nie tylko filozoficzne – ale i zgoła bardziej przyziemne, bo fizyczne. Dało się to zauważyć, kiedy jakiś złośliwy wiatr postanawiał zadać nieco mocniej i porwać ze sobą wszystko, co zawartością swoją zbytnio nie ciążyło. Co kawałek więc całe mnóstwo papierowych toreb fruwało w górę targane wiatrem razem z wszechobecnie zalegającym ulicę kurzem, pyłem tudzież innymi lotnymi paprochami. Taki to już los pustej papierowej torby – nie inny zresztą od losu torebki plastikowej – jak nie zostanie taka wciśnięta solidnie pośród inne śmieci, to wiatr wyrывa ją sobie niczym należną mu daninę i targa po wszystkich ulicznych zaułkach, dopóki jakiś w miarę obowiązkowy cieć nie nadzieje takiego latawca na zaostyczny kijek i nie zrobi z nim ostatecznego porządku.

Torebka z zawartością rzecz jasna nie dała się ponieść wiatrom. Miała za duży ciężar gatunkowy. Żywy ciężar, choć nieokreślony co do gatunku. Ale zapewne nieco świadomy rzeczywistości, na co choćby wskazywało dygotanie. Czy ów zbitek żywej materii umiał wyobrazić sobie pozatorebkowe otoczenie? Czy słyszał kroki, dudniące i tupiące hałasy, podchodzące blisko, szumiące mu nad głową, po czym wreszcie oddalające się gdzieś w niebyt? Siedząc w papierowej torbie nie widział ludzi wyrzucających co jakiś czas na śmietnik swoje śmiecie. Ale zapewne odgłosy ich kroków nasuwały jego wyobraźni przerażające obrazy wielkich olbrzymów, ociążałych i olbrzymiastych, gotowych go pożreć, zdeptać, sponiewierać i przepędzić (zupełnie jakby prawdziwe olbrzymy nie miały nic lepszego do roboty). Ale co ogoniaste stworzenie siedzące w torebce mogło do reszty wiedzieć o zwyczajach olbrzymów? Czy słuszne byłoby podejrzenie ich o wszystko, co najgorsze? Tymczasem ludziska wyrzucający śmiecie ledwo patrzyli na leżącą u stóp śmietnika papierowa torebkę z wystającym ogonem. Niektórzy – bardziej wiekowi i co za tym idzie – starszej daty – nieco wybrzydzały na obyczaje pozwalające wyrzucać cokolwiek o b o k śmietnika, a nie d o. Pokazuje to wyraźnie, jak paskudne jest snucie daleko idących interpolacji na temat okołośmietnikowych, nożnych odgłosów, po czym wysnuwanie z nich negatywnych wniosków.

Wiatr nieco ucichł, w końcu jak długo można tak wiać i wiać, ciągnąc za sobą powłóczyście tumany kurzu. Każdemu by się znudziło, nic dziwnego, że dychawiczne wicherzysko dało sobie na chwilę spokój. Nie ma co udawać, daleko tutejszym miejskim wiaterkom do równikowych pasatów, monsunów czy morskich sztormów. Szczególnie tym, co wieją w samo południe. Zdechłe, znudzone, upalne, to samo najsamiejsze południe, kiedy to kowboje tak bardzo lubią do siebie strzelać. Widocznie wiedzą, kiedy wiatry wreszcie się nudzą. Kul im wtedy nie zwiewają i łatwiej jest trafić w dziesiątkę. Albo w Czarny Charakter. Czarny Charakter zresztą i tak zawsze przegrywa, jak nie za pierwszym, to za ostatnim razem. Któryś raz musi być ostatni, więc właśnie wtedy Czarny

Charakter przegrywa. Nie byłoby sensu, gdyby miał przegrać wcześniej, dajmy na to, za przedostatnim razem. Wtedy kolejne razy byłyby bez sensu, no bo po co mają w ogóle być, skoro Czarny Charakter już przegrał. A gdyby Czarny Charakter przegrał za pierwszym razem, to z kolei byłoby nudno, bo wszystko sprowadziłoby się jeno do pierwszego razu. Więc te ileś tam razy musi się odbyć, zanim Czarny Charakter przegra. Stąd prosty wniosek, że trafić w Czarny Charakter nie jest mimo wszystko zbyt łatwo, mimo że musi on przegrać. A że nikt na dobrą sprawę nie wie, kiedy w końcu przegra, więc tak czy siak lepiej strzelać wtedy, gdy jest łatwiej trafić, czyli w samo południe.

Tym sposobem południe wreszcie nadeszło, wiatry przycichły, a kowbojów i tak nie było, bo to nie były ich czasy ani nie był to żaden western. Ludzie też jakoś dali sobie spokój ze śmieciami. Torebka nadal leżała tak wciśnięta w południową ciszę, kiedy to znowu zaszurały czyjeś kroki. Nie zatupały, ale zaszurały. Nie były sprężyste i twarde, ale takie jakby człapiące, drobne, spokojne i niespieszne. Wszystkie śmieci czekały cierpliwie, aż kroki zrobią na śmietniku swoje i znowu odczłapią w siną dal. Kroki przyczłapały i swoje zrobiły, kłapa kontenera nie klapnęła jednak zamasyście, jak dotychczas. Nie, ktoś ją raczej subtelnie odemknął, pozbył się zbędnego bagażu, po czym tak samo subtelnie domknął. Kroki już miały odczłapać, ale ich właściciel powstrzymał je nieco. Pulchna dłoń wyciągnęła się w stronę torebki z zawartością. No! Nareszcie ktoś porządny dokończy porządku! Kontener – gdyby mógł – zapewne uchyliłby zapraszająco kłape, oczekując aż kolejna porcja powędruje do jego czeluści. No cóż, ze względu na swą konstrukcję mógł przyjąć jedynie postawę bierna. Ale gdyby mógł – to by uchylił. I to nawet zapraszająco! Bo czegoż się nie robi z zamilowania do porządku.

Cały śmietnik doznał jednak rozczarowania, gdy pulchna dłoń, zapoznawszy się z zawartością papierowej torby, nie cisnęła jej w czelusć kontenera, tylko wetknęła za pazuchę. Komentując coś zdziwionym głosem, pulchna dłoń z torebką za pazuchą oddaliła się w kierunku zgiełku Dużej Ulicy. Komentarz zdziwiony, był zapewne cenny, uchylający choć nieco rąbka tajemnicy zawartości papierowej torby. Niestety, komentarz wygłoszono po francusku, ja zaś nie znam francuskiego, nigdy nie znałem i znał zapewne nie będę. A na dodatek nie lubię. Więc nie znam. A że nie znam, to nie rozumiem. I już.

## Nigdzie

Gdzie to było? Nigdzie. Właśnie dokładnie tam. Nigdzie nie było bynajmniej nigdzie, leżało dokładnie 34 mile pomiędzy Gdzieś i Tam, 67 mil na północny wschód od Tutaj. Było dokładnie zaznaczone na mapie stanu Wszędzie. Wszędzie miało być początkowo miastem, pierwsze działki wyznaczono 18 mil na południe od Nigdzie (i to jeszcze zanim Nigdzie zbudowano), ale osadnicy, jak słyszeli że mają jechać do Wszędzie, zaczęli po prostu wszędzie się osiedlać, traktując nazwę miejscowości jako wygodną lukę w prawie, pozwalającą na dowolną samowolę osiedleńczą. Nigdzie powstało zupełnie spontanicznie, ale Wszędzie po prostu nie miało szans normalnie powstać. Także gdy jakiś krewny spoza stanu jechał do kogoś w odwiedziny do Wszędzie, nie mógł go nijak znaleźć, jako że wszędzie – to jak każdy z praktyki wie – tak naprawdę znaczy nigdzie. Gdzieś miało już znacznie bardziej konkretne położenie, a Tam znajdowało się dokładnie tam gdzie trzeba. Nikt więc nie mógł Wszędzie nigdzie znaleźć, a z czasem też nikt nie chciał się też przyznać, że formalnie powinien mieszkać we Wszędzie. Rodziło to dziwne skojarzenia z włączegostwem, więc miało bardzo mało prestiżowy wydźwięk. Natomiast miejsce zamieszkania określone jako „Nigdzie” – mimo iż brzmiało to podobnie mało prestiżowo – miało niemniej jedną wybitnie praktyczną zaletę. Dawało całkowity spokój od komorników i poborców podatkowych, tudzież wszystkich innych czepiających się wszystkiego federalnych urzędników. Gdzie mieszka delikwent? Rzut oka w odpowiednią rubrykę nie pozostawiał wątpliwości: Nigdzie. Jak Nigdzie to nigdzie, sprawa z głowy, przepadła i już. Całkiem przypadkiem okazało się też, że mieszkańcy Nigdzie mieli święty spokój nie tylko od rozmaitej maści oficjeli, ale również od rozpaczliwie poszukujących ich natrętnych członków rodziny, domagających się a to wsparcia, a to spadku, a to znowu jakiejś opieki. Całkiem zrozumiałe jest więc to, że z czasem miejscowość zyskała sobie wielką popularność, a ceny gruntów

astronomicznie wręcz wzrosły. Ale nie uprzedzajmy faktów. Zanim to się stało, Nigdzie jeszcze nigdzie nie istniało.

Całkiem spontanicznie i przypadkowo mianem Wszędzie zaczęto określać cały stan, no bo wszędzie było Wszędzie, stąd też tak się jakoś to naturalnie przyjęło i nikt nie sarkał. A Nigdzie? W przeciwieństwie do Wszędzie, jego nazwa nie wzięła się bynajmniej z nikąd. Choć jako miejsce – powstało zupełnie przypadkowo. Mimo że leżało dokładnie 34 mile pomiędzy Gdzieś i Tam. Heca się zaczęła, kiedy burmistrz Gdzieś przepił już wszystkie fundusze przeznaczone na miejską infrastrukturę, zaś burmistrz Tam przegrał je w karty. Błady strach padł na notabli, gdy jeden otrząsnął się ze szpon nałogu, a drugi z objęć hazardu. W końcu wszędzie wiadomo, że nawet we Wszędzie można bezpiecznie roztrwonić tylko pewną część publicznych środków, aby tylko w granicach przyzwoitości. To każdy zrozumie, zresztą jest to wliczone w koszty administracyjne. Ale żeby tak wszystkie? O nie, ciężko pracujący podatnicy tego nie wybaczą, stołek burmistrza zaś jest zbyt miękki i wygodny, by miał posłużyć jako podstawka pod szubienicę dyndającą na suchej gałęzi, których wszędzie w pustynnym klimacie Wszędzie pełno. Trzeba było coś wymyślić. Skoro na drogę nie ma pieniędzy, droga między Gdzieś i Tam musi się zrobić sama. Można by ją po prostu umieścić na mapie i udawać, że po prostu jest. No bo i tak po co komu z Gdzieś łączyć Tam? Albo z Tam – Gdzieś? Nikt nie zauważy.... Mimo logicznego skądinąd rozumowania pomysł wydawał się nieco ryzykowny. Za jakieś 30 do 40 lat miano wprowadzić do użytku satelity, nowoczesna kartografia w mig się zorientuje, że coś nie gra. Ale przecież to dopiero za 30, do 40 lat? Zwykły obywatel by się tym nie przejął. Ale nie wysoko postawiony notabl! Notable mają to do siebie, że czują się być przywiązani do stołka po prostu na zawsze. Perspektywa 30 czy 40 lat nie jest dla nich żadnym problemem. Kiedy podatnicy pytają np. o publiczne wodociągi, notabl ze stoickim spokojem odpowiada, że są one przewidziane za jakieś 30 lat. Kiedy obywatelowi stają na tę wieść włosy na głowie, notabl z zimną krwią odpowiada, że nie od razu Kingstone zbudowano, że nawet Bóg potrzebował sześciu dni na stworzenie świata, a nie zajęło mu to jednego pstryknięcia. Skoro Bóg miał na robotę sześć dni – a że udało mu się w sześć dni to nic dziwnego, w końcu jest Bogiem – a my tutaj jesteśmy ludźmi, toteż nam się nie uda zrobić tego w sześć dni, nam potrzeba, przy naszych zasobach i wpływach do budżetu, około 30 lub 40 lat. Musicie to drodzy podatnicy przecież zrozumieć. A przy okazji – nie zalegacie kochani czasem z podatkami? Terminowe płatności przyspieszyłyby prace... a po za tym, no właśnie – gdzie to się podział mój kalkulator – za zwłokę wypadaloby doliczyć jakieś odsetki.... – Jak już burmistrz zaczynał mówić o podatkach i odsetkach, każdy obywatel, nawet najsumienniejszy, po prostu zwiewał, wiedząc że pod tym względem burmistrz zna się na rzeczy znacznie lepiej od nich i będzie w stanie w majestacie prawa wyciągnąć im z kieszeni jeszcze całkiem sporo. Kto by więc wtedy nie uciekał? Burmistrz tak prywatnie, zupełnie nie znał się na rachunkach, wiedział tylko, że podatnicy mają płacić, a on ma jakoś wydawać, rozważnie oczywiście stawiając granice przyzwoitości. Tudzież nieprzyzwoitości. Więc zawsze chętnie sięgał po kalkulator, licząc niez mordowanie, że  $2 \times 2 = 4$ , po czym interpretował wynik zupełnie dowolnie (o ile podatnik zamiast zwiewać, czekał na wynik). Interpretacja skomplikowanych obliczeń brzmiała przykładowo tak: 13 doliców i 18 centów, płatne natychmiast do kasy urzędu. Jutro będę musiał doliczyć jeszcze 16 dolarów i 76 centów opłaty manipulacyjnej, ale dzisiaj jeszcze ją daruję. Płać więc, Henryku (o ile podatnik nazywał się właśnie Henryk), bo jutro nierzetelność wobec Państwa i Prawa będzie Cię kosztować znacznie więcej! Tak to skutecznie pozbywano się niewygodnych interesantów, zadających kłopotliwe pytania. No ale co zrobić po 30 latach, kiedy ktoś przypomni obietnice miejscowych władz? Ha, tym się władze nie przejmują, w końcu kto wytrzyma 30 lat bez wody! Sami sobie ludzie zrobią zaopatrzenie w wodę, od czego pompy przy studni, wiatraki ciągnące spod ziemi to, co trzeba. W końcu też wprowadzi się i hydrofony, i bojlerzy, a może nawet i jakieś wodociągi. Pomysłowość ludzka nie zna granic, a prywatna inicjatywa znajdzie dla siebie każdą rynkową niszę, od czego w końcu wymyślono kapitalizm. Po 30 latach nikt nie będzie potrzebował publicznego wodociągu, bo każdy będzie miał już swoją wodę. Potrzeby społeczne zostaną więc zaspokojone, a my – notable – będziemy mogli zasłużyć za ten stan rzeczy spokojnie przypisać sobie! W międzyczasie utrzymamy się przy władzy, bo któż inny, jeśli nie my, jest w stanie tak sprawnie dbać o potrzeby lokalnej społeczności? Nikt tego nie śmie zakwestionować. W końcu do tej pory nie śmiał...

Ale tym razem notable nie mogli przeczekać sprawy drogi przez 30 do 40 lat, aż powstanie kartografia wspomagana satelitarne. Nawet wcześniej w końcu by zauważono niezgodności mapy z obserwacjami lotniczymi. Sprawa mapy byłaby już federalna, jak nic stołki by wyskoczyły spod siedzeń, nawet jak by się obeszło bez konopnych sznurków w roli krawatów – w prezencie od lokalnej społeczności. Na to notable nie mogli sobie pozwolić. Obaj solidarnie orzekli, że granice przyzwoitej nieprzyzwoitości zostały przekroczone, udzielili sobie wzajemnie służbowej nagany (przezornie nie wpinając jej jednak do akt), po czym zasiedli nad bezgotówkowym rozwiązaniem problemu. Zwykle takie posiedzenia wiązały się z przepijaniem kolejnych porcji publicznych funduszy, co zresztą wliczone było przecież w koszty administracyjne. Tym razem jednak fundusze były już przepite i przegrane, a Chudy Jimbo nie chciał dać już na krechę ani kropli whisky więcej, nawet pod zastaw podatków z przyszłej pięcioletki – przewidując swym czarnowidztwem rychły kres lokalnej władzy. Debata kryzysowa nad stanem municypalnych finansów musiała się odbyć o suchym pysku. Stąd też zapewne była krótka, konkretna i owocna. Burmistrze, błysnąwszy intelektem raz a dobrze, rozstali się pełni nadziei i optymizmu. Już następnego dnia, wspomagani przejściową przymusową abstynencją, wprowadzili w życie uchwalony ostatniego wieczoru plan bezgotówkowego rozwiązania kwestii braków w lokalnej międzyosadniczej infrastrukturze transportowej.

Jaki to był ów cudny plan? Po pierwsze, rzecz jasna, był on tajny. Stąd też wynikała kolejna jego cecha – nieoficjalny i niesformalizowany, a już w zupełności niezmaterializowany na piśmie. Nie przeszkadzało to jednak w niczym domyśleć się poniekąd szczegółów owego planu, badając sytuację *ex post*. Plan był bowiem prosty, konkretny i – co by nie mówić – genialny. Otóż każdy nowy przyjezdny, zamierzający osiaść w okolicy na stałe, musiał przyjść do burmistrza po przydział działki pod zabudowę. Teren pustyni był dawany za darmo, ale ktoś nad jego podziałem tak czy inaczej czuwać musiał. Przychodził więc delikwent do burmistrza Gdzieś i pytał, gdzie może się osiedlić. „Idź tam” – mawiał burmistrz wskazując ręką kierunek, gdzie znajdowało się Tam. Analogicznie – gdy przyjezdny pytał o miejsce w Tam, burmistrz mówił mu: „a idźże sobie gdzieś” – wskazując przy tym ręką – niby od niechcenia – kierunek, gdzie znajdowało się Gdzieś.

Delikwent wędrował przez pustynię w kierunku Tam, albo Gdzieś, ale że było to ładnych 68 mil drogi, zwykle wysiadał ze zmęczenia już po 34 milach, czyli w połowie (na tyle średnio starczała standardowa manierka z wodą, w jaką zobowiązany był wyposażyć go rząd federalny wspierający osadnictwo z funduszy socjalnych). Decydował się więc na to, by osiaść właśnie tu gdzie zawędrował, no bo co to za różnica, czy ma to być Gdzieś, czy Tam. Burmistrze zgodnie przymykali oko na takie spontaniczne osadzanie się – bo plan działał! Osadnicy, osadziwszy się w połowie drogi pomiędzy Gdzieś i Tam, wracali do miasta po zapasy prowiantu i wody, zaopatrując się przy okazji we wszystko, co potrzebne do rozbicia tymczasowych miejsc zamieszkania (nieźle przy tym wzrosły dochody z akcyzy!). Pytani przez miejscowych, gdzie mieszkają, odpowiadali wzruszając ramionami – nigdzie. Nigdzie bowiem jeszcze nie mieszkali, zostawiając bagaże w połowie drogi między Gdzieś i Tam, dopiero szykując się przecież do zamieszkania. Mijały dni, wędrówki między środkiem stepu a osadami trwały, a w międzyczasie powstawała, pracowicie wydeptana, solidnie utwardzona wytrzymałym dreptaniem – droga! Z czasem droga obrosła w żwir i kamienie, na końcu zaś ktoś wreszcie postarał się o asfalt – prywatna inicjatywa wiecznie żywa, od czego w końcu budowaliśmy kapitalizm! Mimochodem utarło się też miano dla nowej osady. Jako że każdy osadnik, na pytanie – gdzie mieszka – odpowiadał, że nigdzie, więc tak już po prostu zostało. Nigdzie.

## Farma

Na farmie nic nie rosło. Wydawało się to być nadzwyczaj dziwne, jako że zwykle podstawą egzystencji jak również sensem istnienia każdej farmy jest podtrzymywanie roślinności jadalnych tudzież przemysłowych. Ale na tej farmie nic nie rosło. Farmer niczego nigdy nie uprawiał. Nie dlatego, że ziemia była marna a klimat suchy. To by Farmerowi zupełnie nie

przeszkadzało. Gdyby się uparł na coś, uprawiał by to nawet na dnie aktywnego wulkanu, gdzie już bardziej sucho być nie może. Albo i na słońcu, którego powierzchnia też nie zna pojęcia wilgoci pod jakąkolwiek postacią. Ale Farmer uparł się, żeby nic nie uprawiać. Stąd też na farmie nic nie rosło. Choć trzeba przyznać, że czasem coś wyrastało. Raz wyrosły bakłażany, które ufne w swą przewagę liczebną rozzuchwały się tak niemożliwie, że dokonały najazdu na gospodarstwo celem opanowania kuchni i wyrugowania z jadłospisu wszelkich jarzyn. Innym razem wojsko w ramach prób militarnych zasiało gigantyczną marchew bojową, która wyrosła i doprowadzała swych konsumentów do gigantycznego wybuchu. Ale cóż, jak to każdy produkt w fazie prób, marchew okazała swą całkowitą nieprzydatność bojową (dała się z łatwością rozbroić podczas gotowania) i jeżeli ktoś już wybuchł, to sam Wielki Generał – zresztą nie po zjedzeniu bojowej marchwi, tylko kanapki. Kanapka była zakamuflowanym materiałem wybuchowym reagującym na soki żołądkowe, będącym również w fazie testów. Nikt nie wierzył w jego skuteczne działanie – a tu jak raz pech – wzięło i zadziało za pierwszym razem. No cóż, na kogoś padło, a na kogo padło – na tego buuum! A że to był jak raz Wielki Generał? Wartość eksperymentu tym bardziej wzrosła, nikt by bowiem świadomie nie testował wybuchowych materiałów na Generałach, w dodatku Wielkich. Sukces kanapki skłonił wojsko do odwrotu od eksperymentów agrarnych, a tymczasem na farmie wyrosły dzikie warzywa. Wiadomo, nigdy nie trzeba się prosić, żeby coś wyrosło na dziko, każde dziecko o tym wie. Dzikie warzywa były piękne i wspaniałe, rosły szybko i wręcz ekspresowo wydawały obfity plon. Miały jednak jedną wadę – były mięsożerne, a konkretnie – ludziożerne. Nie miały zresztą wyjścia, na farmie nastawionej na uprawę roli, ludzie stanowili jedyną formę mięsiwa. Ale nic to, farmerzy nie dali się zjeść, wspaniałe okazy uschły z braku wody i pożywienia, zaś życie potoczyło się dalej. Innym razem wyrosło drzewo. Wspaniałe drzewo, cudowne drzewo! Spełniało w lot każde życzenie pulchnej gospodyni. Leczyło, uczyło i żywiło – pustynny odpowiednik złotej rybki bez wad konstrukcyjnych ograniczających użycie do trzech razy sztuka. Ale farmer drzewo ściał. Nie podobało mu się. Albo był zły, że drzewo spełnia życzenia gospodyni, a nie jego. Sam wprawdzie o nic drzewa nigdy nie poprosił – gdzieżby tam! Poważny człowiek miałby się o coś prosić drzewa! Pewnie jednak w sercu utkwiała mu jakaś zadra. Albo i co innego. Tak czy siak – wzięł i ściał.

Tak więc na farmie nic nie rosło. Jedno tylko wiatrak pompujący wodę ze studni majaczył na tle zachodzącego księżyca. Na tle słońca – obojętnie czy wschodziło, czy zapadało się pod horyzont – wiatrak nijak majaczyć nie chciał. Nie wiadomo, czy obraził się na słońce, czy co, być może uważał majaczenie na jego tle za zbyt banalne i kiczowate, tak czy siak, majaczyć na tle słońca – nie chciał. Majaczył więc zapamiętale na tle księżyca w każdą księżycową noc. Księżycowi było to obojętne, zaś słońce nie uważało za stosowne przekonywać wiatraka do zamajaczenia choć raz na jego tle. Dziwne to, zważywszy odwieczną niechęć słońca do księżyca (i *vice versa*). Majaczyący wiatrak na takim czy innym tle mógłby więc w tym prastarym sporze stanowić jakąś kartę przetargową – ale wyszło na to, że jest to najbliższym zainteresowanym zupełnie obojętne.

Jak najbardziej też wszystko było obojętne zwłaszcza farmerowi. Cieszył się on szczególnie z dotacji rządowych, przyznanych mu na poczet ciężkiej sytuacji rolniczej. Rząd wspierał bowiem farmerów, gdyby bowiem farmerzy przestali farmerzyć, cały kraj przecież umarłby z głodu. Rząd wspierał szczególnie tych farmerów, co to nic nie uprawiają – właśnie po to, by niczego nie uprawiali. Żarcia i tak w kraju było po uszy, jeszcze jeden farmer ze swoją farmerską produkcją znacząco zaburzyłby równowagę rynkową, wprowadzając do obrotu swoje tanie towary. Trzeba więc przyznać dotacje, by farmer na wszelki wypadek niczego nie produkował. Rząd przy okazji nie martwił się o pieniądze. Rząd nie mówi o pieniądzach – rząd ich przecież nie ma. Farmerom niech wystarczy, że mają przyznane dotacje. Jak by zaczęli siać, orać i zbierać – natychmiast by je stracili. A tak, to nic nie sieją, nie zbierają – dotacje więc mają. Przyznać dotacje nie oznacza przecież od razu – dać pieniądze. Farmerom – jak to zauważyli politycy – wystarczy sama świadomość, że coś im się należy. Wystarczy też postraszyć, że się im tę należność cofnie, anuluje i skasuje – a już wszyscy byli grzeczni i nikt nie sarkał. Taka strategia gwarantowała, że wszyscy byli zadowoleni, nie mając ani zbyt wiele zajęcia, ani zbyt wielu funduszy. Co nie przeszkadzało politykom marnotrawić środków, zaś farmerom – cieszyć się z przyznanych dotacji.

Farmer więc niczego nie uprawiał, bojąc się utracić przyznane dotacje i ciesząc zarazem, że została doceniona jego ciężka sytuacja życiowa. O żarcie i tak przecież troszczyła się zawsze jego

żona, która nie byłaby przecież sobą, gdyby nie udało jej się podać obiadu na czas. Nie ma to jak kobieca ambicja kuchenna! Jediną możliwością uszczęśliwienia bliźniego jest przecież dać mu żarcie **na czas** – obowiązek i przywilej każdej gospodyni. Żadnej innej możliwości uszczęśliwiania drugich gospodyni nie ma, gdyż niczego innego poza żarciem nikt od nich nie oczekuje. Pranie i sprzątanie się nie liczą, bo i tak tego nikt nie dostrzega, że jest posprzątane i uprane – **prawdziwym** mężczyznom ani bałagan ani zapocone łachy nie przeszkadzają ani trochę. To tylko gospodynie mają tego ciężkiego fijoła, że muszą mieć poukładane równo w szafie i w kredensie, tudzież czysto we wszystkich kątach. Robienie porządku leży więc w ich wyłącznym osobistym interesie, robią to jedynie dla swej własnej egoistycznej potrzeby. Nie można tego brać pod uwagę, jako działalność dobroczynną dla otoczenia. Ba! Działalność porządkowania, sprzątania i prania jest wręcz szkodliwa dla osób postronnych – ileż to rzeczy posprzątanym musiało się pożegnać z bogu-ducha-winnym właścicielem, który od ostatniego sprzątania nie miał już szans ich odnaleźć... a ileż to banknotów, pozostawionych w skrytych kieszonkach spodni, straciło po upraniu swoją siłę nabywczą... Nie, za pranie i sprzątanie w żadnym wypadku nie należało gospodyniom dziękować. Należałoby więc ze zdwojoną siłą brudzić i bałaganić, by paniom domu jak najszybciej odechciało się sprzątać, by dostrzegły bezcelowość tego szkodliwego nałogu, by wreszcie opuściły je niespożyte siły, opadły natrętne ręce machające z maniakałnym uporem ściera, dostrzegające kurz w każdym zakątku i zakamarku nieszczęsnej mieszkalnej przestrzeni! Na szczęście jeszcze zajęcia kuchenne są na tyle zajmujące, że zawzięta gospodyni co jakiś czas musi odpuścić sobie ulubione hobby i zająć się pichceniem. Wtedy można odetchnąć i naprawić to, co zepsuła, przywracając domowi przytulność i użyteczność. Żywioty chwilowo popłyną oddzielnym, kuchенно-salonowym korytem, zanim znowu się zmierzą w starciu bojowym o równo położone skarpety.

## Ley mi w ten looz...

Pewnego dnia ciszę pracowitego poranka przerwał dyskretny łomot do drzwi. Nikt się nim z początku nie przejął – Gospodyni była zajęta kuchnią, zaś Farmer – samym sobą, więc każde z nich oczekiwało, że to drugie zajmie się otwarciem drzwi i przywitaniem nieproszonego gościa. Przywitaniem – albo przepędzeniem na cztery wiatry. Farmer chętniej przepędzał, gospodyni – chętniej witała. W ten sposób doskonale się uzupełniali jako małżeństwo, bo to co nie bardzo przychodziło robić jednemu, drugie wykonywało z wielką chęcią i gorliwością. Jednak co do otwierania drzwi – to jak wspomnieliśmy, oboje oczekiwali, że przywitaniem lub przepędzeniem gościa zajmie się to drugie. Bo przecież jak raz każde z nich miało tyle swojej roboty!

Gość dłuższą chwilę dyskretnie łomotał do drzwi, aż w końcu zmienił strategię. Sam się poczęstował klamką – a że drzwi nie były zamknięte – otworzył je i wszedł dumnie nieśmiałym krokiem do sieni. Dostojnym wzrokiem zmierzył wewnętrzną okolicę, po czym wkroczył do salonu.

— Widzę, że w tym domu nikt nie ma za grosz szacunku dla wielkiej sztuki! — oznajmił subtelnie gromkim tonem, kierując głos w stronę pleców fotela, na którym spoczywał Farmer. — Zaiste, za grosz szacunku! Nie dość, że ścian nie zdobią nawet reprodukcje żadnego wielkiego dzieła, to jeszcze największy artysta od czasów wszechczasów musi tu osobiście wnosić na plecach swój warsztat, zamiast być przywitany i obsłużony. Skandal, zaiste!

Farmer nie przejął się zbytnio dobitnie wyrażonym sądem wygłoszonym za jego plecami. Zorientowawszy się, że mimo wszystko ma gości, burknął tylko coś pod nosem.

— Szanowny pan raczył powiedzieć – że co?

— Że herbaty nie dostanie! – sprecyzował burknięcie farmer. – Ani zupy, ani obiadu. I niech lepiej idzie. Tu się pracuje. Ciężko.

— Pracujący człowiek! Cudownie! Takk, to jest temat! Temat na arcydzieło. Do dzieła więc, a raczej – do arcydzieła!

Gość błysnął okiem w stronę Farmera, zdjął niesiony na plecach pakunek, po czym bezceremonialnie rozstawił na środku salonu sztalugę, rozpiął na niej płótno, ujął pewnym chwytem w garść pędzel po czym jeszcze raz zmierzył artystycznym spojrzeniem najbliższą perspektywę. Farmer, usłyszawszy brzdęk rozkładanych gratów zmusił się jednak do obrócenia swego oblicza w stronę przybysza.

— A ten co mi tu... — zaczął, ale nie dokończył, przygwożdżony fachowym wzrokiem artysty celującego w niego pędzlem.

— O tak! Właśnie tak! Tak trzymać głowę! Niech teraz model powoli podniesie jedną brew — i tak trzyma!

— Te, zaraz, jaki model, jakie co... — teraz Farmer już był pewien, że musi przestać zajmować się sobą i że będzie jednak musiał zająć się gościem. Że przepędzić go musi — to pewne. Na cztery wiatry. Tyle że wiatry akurat wiać przestały. No cóż, nie była to jedyna przeszkoda, jaką w realizacji swych życiowych planów napotykał Farmer. W każdym innym razie dałby sobie spokój (gdyż święty spokój należał do podstaw jego egzystencji) — jednak przepędzanie gości było czymś, do czego podchodził nadzwyczaj sumiennie. Nic dziwnego, że kiedy zobaczył za sobą rozstawioną sztalugę oraz dziwaczne jegomościa w berecie z szerokim rondem, celującego w niego pędzlem, z rozwianym włosiem i gorejącymi oczyma — to od razu nabrał motywacji do działania.

— Te, taki jeden, zaraz mi tu teraz ... — chciał kontynuować, ale przybysz przerzucił ciężar uwagi z jednego oka na drugie, wzmocnił artystyczne spojrzenie i zaordynował:

— Trzymać głowę, trzymać! To arcydzieło będą oglądać miliony, aż będzie warte miliony! Całe miliony przyniosą miliony dla tego cudu i mego wszech talentu! Trzymać postawę mówie!

— Miliony? Ile milionów? — Zaciekawiał się Farmer.

— Miliony milionów! Nie ma na tym świecie nic cenniejszego od prawdziwej sztuki, a sztuka właśnie oto się rodzi, oto tu i teraz! — artysta wycelował w Farmera dodatkowo — oprócz pędzla — szpiczasty koniec swej bródki. I wtedy właśnie do salonu weszła gospodyni.

— Ooo! Mamy gości! Jak miło że pan wpadł! Z pewnością napije się pan herbaty!

Szeroki uśmiech na twarzy Gospodyni od razu znalazł odbicie na obliczu gościa. Artysta rozpromienił się — Herbata! Jak cudownie! To będzie żywa natura! Takk! Żywa natura... natura trupiej filiżanki z żywą ręką podającą padlinę herbaty! Cudownie! To jest temat! Temat na arcydzieło. Do dzieła więc, a raczej — do arcydzieła!

— Przepraszam, że dopiero teraz przychodzę pana przywitać — usprawiedliwiła się tymczasem Gospodyni — pan się nie obrazi, ale musiałam wstawić wodę na herbatę. Pan pewnie...

— Ależ pewnie! Jak najpewniej! Pani pozwoli, moja godność Tumiauluz-Lautrunek — dla przyjaciół po prostu A'ri — oksymoronista, nie muszę dodawać, że wybitny oksymoronista! Zresztą sama pani się przekona... proszę tylko... taak... chwile... paleta...

— Panie, zaraz, a kto da te miliony, panie, no? — Farmer dość bezceremonialnie zmienił temat na najbardziej go interesujący — Kto te miliony, panie, da?

— Miliony! Właśnie miliony! Miliony przyjdą, zobaczą, miliony zostawią! Nie ma niczego cenniejszego...

— Od dobrej herbaty! — dokończyła gospodyni wciskając w rękę artysty parującą filiżankę.

Zapach dobrej herbaty ostatecznie wyrównał nastrój i ułagodził obyczaje. Jeszcze konkretniej podziałało ciasto, jakie pojawiło się na stole parę minut po herbacie. Gospodarz postanowił nie przejmować się tym, że mają gościa. Zresztą, co tu dużo mówić — słowo „miliony” na tyle mocno rozbudziło jego wyobraźnię...

— Panie artysta, no właśnie, jak to z tymi milionami. Dużo ich pan już ma?

— Ależ drogi panie, prawdziwy artysta nie liczy swoich wielbicieli. Liczy się tylko sztuka! Wystarczy...



— Wystarczy, że spróbujecie po jeszcze jednym kawałku ciasta! — wtrąciła się dość bezceremonialnie Gospodyni — Zresztą, już tylko dwa kawałki pozostały. No a właśnie, panie Lałmituluz...

— A'ri, droga pani, proszę mi mówić A'ri... Właściwie to się nazywam Tumiauluz-Lautrunek i jestem znany w całym świecie, moje nazwisko pyszni się na ścianach najlepszych galerii, ale dla przyjaciół ... proszę mi mówić A'ri!

— Dobrze, A'ri, och... co za oryginalne imię...

— Tak, droga pani! Tak jak sztuka! Musi być oryginalna i autentyczna, twórcza i awangardowa, staroświecko nowa, strupieszalo świeża, zalatująca aromatem zamierchłości jak nowy gatunek perfum, jak dopiero co wykopany artefakt antycznej przeszłości, zupełnie taka jak...

— Miliony! Taka jak miliony nie? Powiedz pan sam! — Gospodarz, nie mogąc odpędzić sprzed oczu wizji wielkiego worka z wielką forszą, pochylił się nad stołem i wlepił w gościa blade oczy. Chwilę trwała walka widmowej twarzy z gorejącymi oczyma, po czym artysta – widząc nerwowo drgający podbródek Gospodarza, niebezpiecznie blisko przysunięty jego własnego oblicza, nieco rozproszony tym widokiem, nieznacznie uległ jego sugestii.

— Tak, jak miliony. Jak te nieliczne miliony...

— No widzisz pan! To tera bierz się pan za te kolorki co je tam pan masz. Tu się, panie drogi pracuje, ciężko pracuje, wiesz pan, więc się bierz pan... za to co tam pan masz, i dawaj pan, maluj teraz te miliony!

Chwilę potem cichą chałupkę wypełniło artystyczne natchnienie. Wielki oksymoronista przemierzał obojętnie zamasztywanym krokiem, stawał co chwila wyprężony, przymykając jedno oko i przekrzywiając głowę lustrował każdy kąt z każdego punktu widzenia. Dokonawszy przeglądu wszelkich zakamarków, nabrał twórczej pewności siebie. Wycelował chudy palec w pierś gospodarza i rzekł:

— Czyś jest pan gotów poświęcić się dla sztuki?

— Że co niby? — Gospodarz widział jak na razie oczami wyobraźni jedynie wielki worek z wielką forszą i na niczym innym nie był w stanie się skoncentrować, a że przez to nic nie kumał z otoczenia, więc nagłe pytanie artysty nieco go zbiło z tropu.

— Drogi panie! Sztuka, a w szczególności wielka sztuka, wymaga poświęceń. Jeżeli ziarno farby nie rozmoknie, a kolor nie wyschnie, ziarnem farby pozostanie – lecz gdy rozplatać jego byt pedzlem na palecie, bryznąć jego jestestwem na płótno – wtedy dopiero formą rozkwitnie i po wieczne czasy żyć będzie! Ja widzę, że kto jak kto, ale pan to rozumie. Poproszę ważę pomidorowej zupy!

— Ach, skąd pan wiedział, że dziś na obiad będzie pomidorowa? — gospodyni nie kryła zadowolenia — zupa wyszła dziś bardzo dobra, zresztą, pomidorowa jest zawsze dobra, taka zdrowa i pożywna...

— Panie, jak pan teraz zrobisz miliony na pomidorowej, co?

— Dajcież mi ważę pomidorowej, a zaraz cuda ujrzycie!

Gospodyni dość szybko uwinęła się w kuchni i raz-dwa dostarczyła na stół pełną ważę pomidorowej zupy. Gospodarz zawiązał pod szyją serwetkę i zażądał talerzy, ale artysta powstrzymał spieszącą do kuchni gospodynię stanowczym ruchem ręki.

— Nie! Bez talerzy. Talerze zepsują...

— No ale jak bez talerzy zupę...

— Nie! Powtarzam nie! Talerze skrzywią perspektywę i zaburzą harmonię. Chochłę poproszę.

Usłużna gospodyni wręczyła mu chochłę. Artysta stał z nią nieruchomo przez długą chwilę, zdając się jakby celować w niewidoczną tarczę zawieszoną na ścianie.

— Już wiem! Pan będzie malował martwą naturę! Tak pan sam powiedział przecież!

— Ależ droga pani... — artysta skierował na gospodynię niesmaczne spojrzenie – jakaż znowu martwa! Jakaż martwa! Natura zawsze ma w sobie pierwiastek życia! Żywa natura! Pełna ekspresji i życia, skamieniały pęd czasu! Schwytała, usidlona chwila! A natura w żadnym wypadku martwa!

Ona przecież nigdy nie jest martwa. Bo i martwota sama w sobie tętni życiem miliardów wiecznie nieumarłych istnień! Nie może więc być martwa. Proszę tylko spojrzeć, a zaraz pani zrozumie, że w każdym wypadku można mówić tylko o żywej martwocie!

To mówiąc, artysta nabrał pełną chochlę pomidorowej zupy, po czym chlasnął nią zamaszystym ruchem, rozbryzgując zawartość o ścianę. Chlasnął po raz drugi, celując w sufit, trzeci chlast pokrył barwnym wzorkiem łysinę gospodarza, czwarty miał dopaść fryzury gospodyni, ale minął jej twarz i wyładował na komodzie. Piąty chlast prasnął w zegar z kukułką, szósty upstrzył kredens, siódmy – jak kropka nad „i” – rozsiadł się na podłodze.

– Do siedmiu razy sztuka! – wykrzyknął artysta sadowiąc sztalugę naprzeciwko gospodarzy.

– Zaraz posprzątam... – zdławionym głosem zaczęła gospodyni, ale artysta powstrzymał ją stanowczym spojrzeniem – ooch, no dobrze, sztuka, a więc właściwie, co pan narobił, panie Miałtu-Lałtam...

– To się nazywa deskrypcja tworzywa, a ja się nazywam Tumiauluz-Lautrunek. Nie muszę przecież powtarzać, moje nazwisko pyszni się na ścianach najlepszych galerii na świecie. Ale przecież proszę mi mówić A’ri. Aha! Jeszcze moment! Mała korekta detalu... – tu porwał z koszyka dojrzałego pomidora, po czym rozkwaśił go energicznym ruchem o łysinę gospodarza – o tak! Teraz komplet! Pommo’d’ore Dynamitesque, chłaściste spektrum chaotycznego porządku, eksplozywny spokój steżały w bryle niemrawego porywu, przytrzaśnięty swobodą ściśle ograniczonego bezkresu! Takk, to jest temat! Temat na dzieło – a raczej – na arcydzieło. Do dzieła więc – a właściwie – do arcydzieła!

Przygwoźdzeni bezmiarem talentu strzelającego spod powiek tudzież palców, sprawnie machających po płótnie pędzlem, gospodarze trwali w bezruchu dobrą chwilę, niczego z wielkiej sztuki nie rozumiejąc – jednak Gospodarzowi wystarczyły kiwające mu się przed oczyma miliony, zaś gospodyni zadowolili się tym, że choć pierwsze danie przewidziane na dzisiaj zostało w większości zmarnowane, to przecież – jak zapewnił artysta – na ich oczach rodzi się wielka sztuka, bez której żyć się nie da, więc po co obiad, skoro mamy sztukę?

Sceptyczne podejście do pożywienia nie przeszkodziło jednak artyście wypić duszkiem reszty zupy, która ocalała po Siedmiu Chłaśnięciach Wielkich. Nie przejął się też zbytnio obfitością drugiego dania, pochłaniając wszystko z prędkością światła. Jedzenie – jak stwierdził – jest interesujące tylko wtedy, kiedy w międzyczasie za jego pomocą coś się tworzy, na przykład wykonując wstęp do arcydzieła. Można na przykład dokonać deskrypcji tworzywa plując na ścianę szpinakiem lub zupą szczawiową – w zależności od tego, co się akurat konsumuje. Szczytem doskonałości byłoby posilić się – jednocześnie marnotrawiąc jadlo, tym samym kęsami łyknąć i wypluć, wchłonąć i nie tknąć. Ale on chwilowo przyjął nieco inną metodę dowolności twórczej – postanowił rozsmakować się w bezsmaku szybko pochłanianych potraw.

Gospodyni przytakiwała artyście, bezrozumnie rozumiejąc, że tak czy inaczej gościowi dopisuje apetyt, cokolwiek miało by to znaczyć dla sztuki. Gospodarz ledwo co zauważył, że jedzenia nie starczy dla niego, gdyż gość tak zapalczywie rozsmakował się w bezsmaku, że z potraw pozostał już sam pusty i namaćalny wręcz nic smak... Ale co to znaczyło wobec wartości sztuki!

Stoicki zapal twórczy artysty trwał do późnego wieczora. Zdumiewający gość rozporządził swobodnie osobami gospodarzy rozstawiając ich dosłownie po wszystkich kątach. Wprawdzie Pan Domu z lekką zaprotestował, patrząc tęsknie na bujany fotel, ale mistrz przywołał go do porządku okrzykiem – Milion! Baczność! – co skierowało tok myślenia Gospodarza na właściwe sztuce tory. Potem gromką ciszę zapadającego zmierzchu wypełniły odgłosy idei konkretyzującej się na płótnie. Gospodyni z zadowoleniem patrzyła na gościa, który ze ślamazarnym zapalem tańczył wokół sztalugi strzelając w nią uderzeniami pędzla – miała tę miłą świadomość, że skoro artysta jest w swoim żywiole, to z pewnością kolacja mu smakowała. Gospodarz rozpostarty między zegarem z kukułką a kredensem, z malowniczo rozkwaszonym pomidorem na twarzy, oddał się bez reszty marzeniom o milionach – które to zbiwszy się w ogromny zielony worek z charakterystyczną „eską” – kołysały mu się miarowo przed oczyma, raz w lewo, raz w prawo, a raz znowu – prosto.

Późny wieczór musiał jednak w końcu nadejść. Zmienił się niedostrzegalnie w późną noc, która to z kolei przeszła ospale w mdły poranek. Przeciętne zmęczenie stłumiło nieprzeciętny animusz artystyczny mistrza oraz niebywałą cierpliwość gospodarzy. Rzeński świt ujrzał całą trójkę chrapiącą smacznie w różnych, celowym przypadkiem zajętych miejscach. Ujrzał również dzieło. Nie wiadomo, jaki gust artystyczny miał ówczesny i przemijający szybko świt, niemniej dzieło wybitnego oksymoronisty wypysznilo się pomidorowo w szczodrym blasku poranka. Obudziło to artystę, który – korzystając z chwili swobody, sprawnie zlokalizował piwniczkę. Przytulny mrok spiżarni przysłonił dyskretnie poczynania mistrza, który – nieproszony – poczuł się zupełnie jak u siebie... ale czyż właśnie nie do tego zachęcała go gospodyni...

Gospodarze, zbudziwszy się, zrazu zapomnieli o niezwykle gościu. Po śniadaniu gospodarz zaczął się wprawdzie poważnie zastanawiać, czy te miliony, których pełno było w jego głowie, to mu się tylko śniły, czy istotnie dzień wczorajszy przyniósł jakieś nadzieje na ich zdobycie. Gospodyni, zajęta porządkowo-kuchennym hobby, nie przejmowała się ani ambicjami swego towarzysza życia, ani wielką sztuką pyszniącą się zupiastym wykwittem na ścianie. Posprzątała wielką sztukę żalując, że nie może posprzątać mężowi w głowie. Farmer tymczasem porzucił dylemat milionów – we śnie czy na jawie – i zajął się kontemplacją samej wielce przyjemnej perspektywy pławienia się w dostatku. Czy to w końcu istotne, czy się o czymś śni czy na jawie snuje plany? Jedno i drugie jest podobnie zajmujące, pasja identycznie łechce po grzbiecie pasjonata bez względu na pozycję zajmowaną w fotelu.

Milionowa fantazja przybrała namacalne ciało, kiedy Tumiauluz-Lautrunek, każący mówić na siebie A'ri, wypełził z piwniczki i wszedł gospodarzowi w pole widzenia. Pole widzenia przymglone było rozpuszczoną na całego pasją, niezmiennie przybierającą kształt opasłego worka – teraz zaś przypadek sprawił, że obiekt bardzo przypominający pękaty worek powoli wsunął się do salonu. Gospodarz, rozanielony, wziął nowo przybyłego za ucieleśnienie swych marzeń – z radosnym okrzykiem chwycił go w objęcia i począł szukać sznurka, który to sznurek po rozwiązaniu ukazałby obfitą zawartość monstrialnej kabzy, która tak usłużnie sama weszła mu w posiadanie przychodząc na własnych nogach do salonu. Sznurka wiążącego domniemany worek jednak nie było, zaś czynione przez gospodarza próby znalezienia takowego doprowadziły pękaty obiekt do ataku dychawicznego chichotu. Zorientowawszy się, w czyich tkwi ramionach, artysta – z lekka utraciwszy wczorajszy polot – z ostentacyjną subtelnością usunął się na bok, popychając gospodarza w kierunku wylaniającej się właśnie z kuchni gospodyni. Zderzywszy się z żoną gospodarz oprzytomniał – nic na niego nie działało tak trzeźwiąco, jak bliska obecność połowicy, która zbliżała się doń zwykle w bardzo mało atrakcyjnych dlań momentach – celem wyciągnięcia mu zza pazuchy forsy na zakupy, na ten drobny przykład. Szybko otrząsnąwszy się z finansowych fantazji chciał coś powiedzieć, ale A'ri doszedł do siebie znacznie wcześniej.

— Madame, monsieur, les tros musqueteros! Wielka sztuka nie znosi bezruchu! Proszę w związku z tym nie stać tak bez artystycznego pożytku! Bezruch wskazany jest jedynie wtedy, gdy artysta tworzy, łapiąc przy tym ulotną chwilę, by owa wiecznie trwała. A do tego potrzeba mi – taak, trzeba, moment... Jest!

Z okrzykiem „milion, za mną!” artysta pociągnął za sobą gospodarza, po czym usadowił go na oknie, przycisnąwszy jego chudy byt opasłą doniczką. Tak utwierdziwszy go na parapecie, ukręcił z firanek prowizoryczny powróż i zasupłał w pętlicę. Założył ją farmerowi na szyję, po czym zakomenderował:

— Na mój rozkaz, do miliona milionów – odlicz!

— Te, panie artysta, a kto stoi w kasie? – próbował się lepiej zorientować w sytuacji uparapecony gospodarz, ale A'ri działał już na pełnych obrotach i nie dał się zdekoncentrować.

— Kasa przyda się przy innej kompozycji. Teraz odlicz, jak mówię! Jeden milion – księguj! Drugi milion – księguj! Trzeci milion...

— Księguj! – wrzasnął posłusznie gospodarz, dając do zrozumienia, że kolejnych milionów podpowiadać mu nie trzeba. Słowo to zresztą tak przyjemnie podziało mu na wyobraźnię, że zaczął miarowo odliczać powtarzając kolejne miliony jak wersety nabożnej litanii.

Od tej pory życie potoczyło się nakreślonym przez wielką sztukę torem. Każdego dnia wybitny oksymoronista, którego nazwisko pyszni się na ścianach największych na świecie galerii, podporządkowywał zarówno gospodarzy jak i ich obejście kanonom reprezentowanego przez siebie nurtu, wypełniając przy okazji wszystkie dostępne kąty wytworami swej oksymoronistycznej wyobraźni, którą sprawnie przelewał na płótno. Twórczy bałagan sprzątała nieodmiennie gospodyni, gospodarz pieczołowicie księgował miliony, zaś sam mistrz po spożyciu sutej kolacji zniknął niepostrzeżenie w ciemnej czeluści piwniczki pod schodami. Gospodyni niejasno próbowała ustalić, gdzie też sypia gość, doszła jednak do wniosku, że tak wielki artysta zapewne nocuje gdzieś w luksusowym hotelu nieopodal, a jej skromne progi są zbyt niskie, by użyczać noclegu światowej sławie. To, że w okolicy był szczyry piach, bez śladu luksusu, nie mówiąc o jakichkolwiek hotelach – nie przeszkadzał w wyciąganiu takich wniosków. Od tego są luksusowe hotele, by było w nich miejsce dla wielkich sław, a wielkie sławy obowiązkowo muszą otaczać się splendorem i ekstrawagancją, inaczej ich wielkość stałaby pod znakiem zapytania. Stąd gospodyni nawet nie śmiała zaproponować skromnego miejsca na gościnnej kanapie w salonie...

Któregoś pięknego dnia gospodarz doksiegiwał się miliarda. Jeszcze wieczorem, obracając w głowie pieszczone wyobraźnią miliony przeczuł, że następnego dnia zostanie miliarderm. Podniecony wielce popędził szybko spać, żeby jak najszybciej przespać noc, by ów szczęśliwy dzień czym prędzej nastał. Nie czekając, aż Tumiauluz-Lautrunek po raz ostatni chlapnie pędzlem na płótno, pognął na pięterko powtarzając w kółko – dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty milion... księguj, księguj! Uaaaa-cha-chaś! – A'ri natomiast, ze swym zwykłym, nerwowym spokojem dokończył prowadzić barwną ekspansję do ostatniego niezamalowanego jeszcze kąta rozpiętego na sztaludze płótna, po czym podśpiewując pod nosem „mamtuluz, mamtuluz”, podreptał w kierunku przytulnej piwnicznej otchłani.

Gospodarz, jak się nietrudno domyśleć, nijak nie mógł zasnąć. Powinien wprawdzie słodko śnić o poukładanych pod czupryną milionach – jak do tej pory – ale ten ostatni milion, dopełniający okrągłą sumkę do magicznie niebotycznego poziomu nie dawał mu nijak zasnąć. Przeczając wszelkim ekonomicznym prawom malejącej użyteczności, ostatni, krańcowy milion był dla Farmera najistotniejszy, gdyż dopiero on tworzył miliard. Do tej pory były to tylko miliony, wiele milionów. Ale miliard? Któż go ma? Któż go miał do tej pory? Teraz zaś będę to ja! Ja! Właśnie ja! – coś takiego pulsowało teraz w ograniczonej małorolnej świadomości Farmera. Parę minut po północy zerwał się z pościeli. Matka! – wrzasnął podskakując wysoko i rozbijając sobie łeb o belkę sufitu – Matka! Trzeba to oblać! Miliard, miliard! Rozumiesz Matka! Wujek Duncan, wujek MacKarton, wujek Vernon – jacy byliby ze mnie dumni! Matka!

- Pomidorowa z ryżem? – wybełkotała niezbyt dobudzona gospodyni.
- Diamentowa ze szmaragdami, Matka! Dziś będziemy miliardermi! – wrzasnął Farmer rozbijając sobie po raz kolejny łeb wskutek kolejnego podskoku – chciałbym zobaczyć teraz skapy ryj wujka Arthura, pękłyby z zazdrości...
- to zerknij w lusterko, mój Grabciu, jesteś wykapany wujek Arthur, tak mi zawsze mówiła twoja mama Melba, jeżeli tęsknisz za wujkiem Arthurem to mówię ci, możesz się z nim stuknąć przez lustro...
- Tak, Matka! To trzeba opić! Uaaaa-cha-chaś! – zawył radośnie wykapany wujek Arthur w osobie gospodarza, rozbijający sobie właśnie po raz trzeci łeb w kolejnym już euforycznym podskoku.
- Tylko proszę cię, nie pij za dużo, ty wiesz, że whisky szkodzi ci na wątrobę, no i masz wrzody, pamiętaj, zdrowie przede wszystkim...

Mamrotanie nieco już bardziej konkretnie obudzonej żony utonęło w radosnym „hurrrraaaa!” jakie wydał z siebie Farmer zlatując ze schodów w kierunku piwniczki. Chwilę krzątał się w sieni w poszukiwaniu świecy, po czym uzbrojony w źródło światła skierował się w stronę komórki.

Świeca to dość mało doskonale i ledwo skuteczne źródło światła. Jeżeli na dodatek świeca tkwi w rozedrganej z podniecenia dłoni, to już efekty jakie daje migoczący płomień poważnie utrudniają orientację w przestrzeni. Chyba, że się zna teren jak własną kieszeń, a świeca służy tylko

podtrzymaniu fasonu i dodaniu animuszu. Farmerowi animuszu dodawał miliard tkwiący jak gwóźdź pod czaszką, a świeca... no cóż, świeca zachowała się dość nieoczekiwanie.

W migoczącym blasku świecy z piwnicznej czeluści wychynał bowiem w kierunku Gospodarza widmowy fizys, którego właścicielem był – jakżeby inaczej – Tumiauluz-Lautrunek. Spojrzał się na intruza, wdzierającego się w okupowaną przezeń do tej pory przestrzeń, po czym beknął przeciągle na powitanie. Pod stopami Farmera coś zadźwięczało donośnie, ów zaś zorientował się, że dotychczasowy porządek piwniczny uległ zdecydowanej metamorfozie. Półki, do tej pory pełne chomikowanych trunków z rodzinnej Szkocji rodem, stały puste, zaś podłoga – do tej pory pusta i wymieciona – wypełniła się wszelkiego rodzaju dźwięczącymi i śliskimi przedmiotami, w których z jakimś zdumieniem Farmer rozpoznał puste flaszki. Walały się ciasnym luzem pod nogami, piętrzyły w oszczędnym natłoku pod ścianami, obnażając swą obfitością bezmiar próżni pustych półek.

Tumiauluz-Lautrunek beknął ponownie, jeszcze bardziej przeciągając basowy jęk, jaki wybrzmiał z czeluści jego pustych wnętrzności. Chwycił w rozpaczliwym geście gospodarza za ramię, po czym grzmotnął się w pierś. Zadudniło...

— Mam tu luz! Lej mi trunek! Lej mi pan trunek.... Lej! Leeeeyyyyyy!!!

Gospodarz niejako w odpowiedzi na rozpaczliwe wezwanie, brzmiające z bezdennej pustki podniesionej do potęgi artyzmem gościa, dopadł pustej sterty i rozpaczliwie począł grzebać pośród flaszek walających się po podłodze, co chwila wołając je jakby po imieniu.

— Jaśku, Jaśku szwedający się ty mój wagabundo, roczku mój ty siedemset piętnasty najśłodszy, gdzieś ty... Mgiełko ty moja z łąk najzieleńszych, baryłko dziewicza, ptaszynko sławetna, kto z wami tak... ale tak... i jak...

Wołałby tak w poszukiwaniu wspomnień po swej kolekcji, gdyby postać artysty nie zaciążyła mu na ramieniu raz jeszcze. Wskazując na szeroko rozwartą gardziel, wielki mistrz zawył żałośnie:

— Leyyy paaaaan, panie gospodarz, leyyyy, MAM-TU-LUUUUZZZZ!!!

Miliony tkwiące pod czupryną gospodarza zmieniły się w stertę zielono zadrukowanej makulatury, po czym zapłonęły jasnym płomieniem. Ruda grzywa Farmera przybrała lwi odcień, gejzer wulkaniczny buchnął z oczu, zaciśnięte pięści strzeliły tysiącem iskier, po czym dach skromnej posesji uległ poważnemu uszkodzeniu, kiedy to przelatywał przezeń – wybiwszy po drodze rozległą dziurę – Tumiauluz-Lautrunek, znany też pod imieniem A'ri. Wskutek owej niecodziennej podróży transstropowej ucierpiała również podłoga parteru, tudzież sufit w salonie stanowiący jednocześnie podłogę sypialni. A'ri w czasie przebojowego lotu próbował się jeszcze szarmancko ukłonić zdumionej gospodyni, do reszty rozbudzonej jękami rozpachy przepelnionej wściekłością męża, które pięknie rezonowały w pustej postaci próżnego artysty. W ślad za mistrzem kolejno wyfruwały tą samą drogą świeżo wykonane przezeń arcydzieła – zamasyście wyrzucane przez szalejącego gospodarza – pozostawiając za sobą puste i niedoceniające sztuki domostwo. Jedynie gospodyni zdobyła się kilka ciepłych słów pod adresem odlatującego z impetem gościa.

— Och, doprawdy, jakież z niego oryginalny džentelmen! Ciekawe tylko, dlaczego mój Grabciu tak ciężko jęczy... pewnie wątroba... a ostrzegałam, żeby tyle nie pił!